

Stanisław Maciaszek

„Krótkie wspomnienia z długiego życia”

Pierwsza Rodzina uciekinierów ze Wschodu w Jarosławiu (wspomnienia z okresu przedwojennego i wojny).

Rodzina moja uciekła ze wschodnich terenów - zza Sanu pod wpływem wypadków wojennych już we wrześniu 1939 r. przebywając początkowo w okolicach Jarosławia, a następnie w samym Jarosławiu. Mam zatem przeświadczenie, że była to pierwsza rodzina uciekinierów ze wschodu, gdyż w owym czasie płynął jeszcze strumień uciekinierów w odwrotnym kierunku.

Zatem poniższa opowieść będzie nieco nietypowa dla stosunków panujących w okresie wojny 1939 r. i później – do ukończenia okupacji niemieckiej, która dla Jarosławia ukończyła się w roku 1944.

PRZED WOJNĄ...

Ojciec mój Michał, żołnierz armii austriackiej ranny w 1914 r. otrzymał pracę w Urzędzie Skarbowym w Bóbrce w 1924 r., sam pochodził ze wsi ostrów koło Jarosławia. Tam ożeniwszy się, kupił dom, nieco ziemi i pracując wychowywał łącznie z matką gromadkę dzieci (jeden syn i cztery córki). Życie płynęło spokojnie.

Miasteczko powiatowe Bóbrka (około 5000 mieszkańców) położone na wschodniej granicy województwa lwowskiego zamieszkiwane było przez Polaków, Żydów i Rusinów-Ukraińców. Polacy to głównie inteligencja- urzędnicy, policja, nauczyciele, Żydzi to również inteligencja (adwokaci, lekarze) oraz bogaci handlarze, rzemieślnicy, kupcy i bardzo dużo biedoty.

Wśród ludności ukraińskiej byli przedstawiciele wolnych zawodów (lekarz, adwokat) oraz głównie chłopi- rolnicy.

Podział na trzy narodowości był bardzo wyraźny, jakkolwiek nie antagonistyczny, na który nakładał się podział wyznaniowo- religijny: Polak był jednoznacznie rzymsko-katolikiem, Rusin- Ukraińiec greko-katolikiem, Żyd oczywiście wyznania mojżeszowego.

Wyznanie było tak dalece wyróżnikiem narodowości, że tzw. "przeniesienie" metryki z Cerkwi do Kościoła było równoznaczne ze zmianą narodowości. Rusin- Ukrainiec stawał się Polakiem- szczególnie Rusinom- zmiana narodowości nie stwarzała problemów m. in. językowych. Jaką skalę miała ta zmiana – trudno dzisiaj ocenić, lecz słyszało się o niej dość często. Podłożem jej były – niestety- chyba wyłącznie pobudki natury materialnej, jakkolwiek wielu z tych Polaków dzieliło później losy narodu Polskiego. Należy przy tym zauważyć, że podział narodowościowy był w pewnym sensie wtórnym w stosunku do podziału wyznaniowego: narodowość – w bardzo licznych małżeństwach mieszanych – nie wyznaczała w zasadzie przynależności kulturowej danej rodziny ani – często- język używany w domu, lecz formalna przynależność religijna do jednego z wyznań: religią i narodowością synów była religia ojca, córek – religia matki.

W okresie przedwojennym – z uwagi na możliwość uzyskania rozwodu – przechodzono na wyznania ewangelickie, które było jednak nieliczne. Było zapewne w jakimś stopniu identyfikowane z niemieckością.

Wydawało się, że trzy narodowości żyją w zgodzie. Były jednak oddzielne centra życia kulturalnego: polskie TSL (Towarzystwo Szkoły Ludowej), Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. Oba posiadały własne budynki.

Ukraińcy posiadali budynek organizacji kulturalnej „Proświta”, Żydzi – pięć synagog.

Trzy narodowości posiadały swoje kluby sportowe.

Wspólnota polsko-ukraińska ujawniała się w początkowych latach trzydziestych m.in. nabożeństwami w święto Jordanu; w procesjach jako ministrant brałem też udział.

Oznaki pogarszających się stosunków polsko-ukraińskich pojawiły się w połowie lat trzydziestych: miał miejsce napad rabunkowy na ambulans pocztowy, w którym zginęło dwu żandarmów i jeden Ukrainiec.

Pewnej nocy w tym okresie ojciec wyprowadził nas na ganek domu i wówczas zobaczyliśmy łuny pożarów wokół miasta. To płonęły sterty ze zbożem. I wówczas zapamiętałem słowa ojca:” My będziemy stąd uciekać – musimy się do tego przygotować”.

Praktycznym następstwem tego był zakup na zachód od Sanu kilku hektarów ziemi. Ojciec nasz dbał przede wszystkim o wykształcenie dzieci: starsza siostra, wychowanka SS. Dominikanek w Lwowie ukończyła w 1939 r. drugą klasę gimnazjum im. A. Asnyka, ja w tymże roku zdałem egzamin do nowo utworzonego gimnazjum arcybiskupiego we Lwowie. Pobieraliśmy oprócz tego prywatne lekcje języków i muzyki mnie uczono języka niemieckiego, hebrajskiego i judysz, angielskiego.

Okres wakacyjny 1939 r. był już okresem dużej nerwowości, mówiono o wojnie i przygotowywano się do niej; oklejano okna, czyniono zapasy żywności. Szkolono w obronie przeciwlotniczej (byłem gońcem). Jako drużynowy w drużynie harcerskiej przechodziłem szkolenie p/gaz, strzelanie ...

WOJNA

Z jednej strony rodzice czynili przygotowania do wyjazdu dwójki dzieci – siostry i mnie – do gimnazjum we Lwowie, z drugiej co raz intensywniej przygotowywano się do wojny.

Wybuch wojny spowodował, że do szkół we Lwowie nie wyjechaliśmy. Pierwszy tydzień – poza nocnymi wartami niczym się dla mnie nie różnił od tych przedwojennych. Jedynie w czasie nocnych wart słyszeć było pomruk lecących na wschód samolotów. Wraz z upływem dni narastała fala uciekinierów cywilnych oraz oddziałów wojskowych spieszących od strony Lwowa w kierunku na Chodorów i Stanisławów.

Wypadki dotyczące rodziny zaczęły się w trzecim tygodniu wojny z chwilą wkroczenia wojsk radzieckich na tereny polskie.

Władza cywilna miasta trwała dotychczas na stanowisku, miasto przygotowywało się do obrony przed Niemcami. Na drogach wylotowych miasta ustawiono z potężnych bali zapory przeciwczołgowe.

Niemcy jednak utknąwszy pod Lwowem nie wjechali do oddalonej o 30 km na południowy wschód – Bóbrki.

Z chwilą wkroczenia wojsk radzieckich do Polski tj. 17.IX. 1939 r. wypadki potoczyły się błyskawicznie. Władze polskie przekazały rządy nad miastem grupie ukraińskich mieszkańców, same zaś rozpoczęły furmankami ewakuację na Wschód do Ruskich, gdyż wówczas uchodzili oni za tych, którzy mają Polsce pomóc. Działo się to 18. IX. 1939 r. Po dwóch lub trzech dniach wszyscy powrócili, gdyż stała się już jasna rola armii sowieckiej.

Władze polskie rozwiązały się, rządy nad miastem objęła grupa Ukraińców, zaś Polacy, szczególnie polscy urzędnicy, musieli sami decydować o swoim dalszym losie.

W tym czasie zginęli policjanci, a posterunek policji, starostwo, magistrat przeszły w ręce Ukraińców.

20 września 1939 r.- o ile dobrze pamiętam, do miasta wkroczyła armia radziecka, kierując się od strony Przemyślan na Lwów.

Lokalna władza ukraińska w skład której wchodził zarówno nacjonaliści jak i „czerwoni” rozpoczęła rewizję w naszym domu w poszukiwaniu broni, bowiem w ręce jej dostał się wykaz posiadaczy broni znajdujący się w Starostwie.

Rewizja u nas nie dała rezultatu. Pomogła w tym pracująca u nas dziewczyna narodowości ukraińskiej, która ukryła broń za „pazuchą” a jako Ukrainka nie była rewidowana.

Po rewizji ojciec postanowił uciec na Zachód. Szybko zorganizował furmankę powożoną przez znajomego Ukraińca. Na wóz wrzuciliśmy trochę rzeczy, jedzenia, a plan ucieczki był następujący: furmanka wyjechała pierwsza za miasto i tam miała oczekiwać na uciekinierów. My natomiast pojedynczo, nie zwracając uwagi, mieliśmy polami dochodzić do niej. U wozu zebraliśmy się wszyscy oprócz ojca. Kilkugodzinne oczekiwanie nie dało rezultatu. W pewnym momencie starsza kobieta pędząca bydło na pastwisko powiedziała matce, że ojciec został przez Ukraińców aresztowany i wyprowadzony do parku Czajkowskich w Ehrendorfie. Matka wróciła do miasta.

Z późniejszego opowiadania ojca i matki wynikało, że kazano ojcu wykopać grób i przygotowywano egzekucję. Protesty matki pozostały bez skutku. W tym momencie zdarzyło się coś co można uznać prawie za cud. Drogą obok parku zaczęły po raz pierwszy przejeżdżać, kierując się nie na Lwów, lecz na południe w kierunku Strzelisk, Chodorowa, rosyjskie tankietki. Oficer radziecki widząc tłum ludzi, uzbrojonych cywilów, przygotowania do egzekucji – rozbroił ich i uwolnił ojca od śmierci.

Po spotkaniu przy furmance całej uciekającej rodziny rozpoczęliśmy wędrówkę na Zachód.

Najprostsza droga od nas, z Bóbrki za San, biegła przez Lwów, Gródek Jagielloński do Przemyśla. Nie mogliśmy uciekać tą drogą ponieważ Lwów był oblężony, a drogi zapchane zakorkowane wojskiem radzieckim idącym na Lwów, wojskiem niemieckim od Lwowa na Zachód oraz ludnością cywilną i czasem grupami żołnierzy polskich. Uciekaliśmy przez Krasne, Gródek Jagielloński, Jaworów, przez Kalników, Stubno, Święte, zbliżaliśmy się do Sanu, który można było w furmance przejechać bez trudności w Świętem z powodu niskiego stanu wody. Przez Radymno dotarliśmy do podjarosławskiego Ostrowa, do krewnych u których zamieszkaliśmy kilkanaście dni.

Podróż – ucieczka trwała trzy dni, bo też było to około 150 km, często polnymi drogami, gdyż drogi główne były zapchane wojskiem. „Spotkanie” z Niemcami nastąpiło w Gródku Jagiellońskim. Ucieczka- podróż nie obfitowała w jakieś spektakularne przejścia, poza nocami

spędzonymi na wozie – przynajmniej tak była odbierana przeze mnie wówczas 13-letniego chłopca znajdującego się zresztą pod opieką ojca i matki.

Po przyjeździe do Ostrowa matka natychmiast powróciła z woźnicą na Wschód. Zostaliśmy – ojciec, siostra i ja w Ostrowie.

Po krótkim czasie, kilku dniach pojechaliśmy do Jarosławia. Zaczął się okres biedy i wegetowania. Jako 13-letni chłopiec i siostra 14-letnia dziewczyna rozpoczęliśmy trudne życie, życie prawie dorosłych ludzi, które spadło na wątłe, dziecinne ramiona.

Matka z pozostałym rodzeństwem zamieszkała w ZSRR, my w Generalnej Gubernii.

Opisując powyższe przeżycia odnoszę wrażenie, że byliśmy pierwszymi uciekinierami wojennymi z kierunku wschodniego.

Nie wiedzieliśmy co się dzieje z matką, ona zaś nie wiedziała gdzie jesteśmy, zostawiła nas bowiem w Ostrowie, podjarosławskiej wsi. Zmuszeni byliśmy sami urządzać sobie życie. Otrzymaliśmy przydział mieszkania bez praktycznie jakiegokolwiek sprzętu domowego. Ojciec otrzymał pracę w Urzędzie Skarbowym.

Z czasem życie w okupowanym Jarosławiu stawało się coraz cięższe i trudniejsze. Szybko zanikało normalne przedwojenne bytowanie. Stawało się ono trudniejsze dla stałych mieszkańców będących w jakimś zapewne stopniu przygotowanymi na trudy wojny i tkwiące w społeczności miasta, w sferze materialnej mających z pewnością mniejsze lub większe zapasy oraz znajomości.

Dla nas, uciekinierów, życie stawało się jeszcze bardziej ciężkie, gdyż byliśmy tego wszystkiego pozbawieni.

Przed wszystkim przynajmniej początkowo, żyliśmy przekonaniem, że jest to sytuacja chwilowa i wszystko wróci do przedwojennej normy. Tak się nie stało. Rzeczywistość stawała się coraz okrutniejsza. Najbardziej dawał się we znaki nie brak żywności, lecz braki w odzieży i przede wszystkim opału. Zniknął wówczas nie jeden parkan. Nie było sprzętów domowych – łóżek, nie było czym okrywać się w nocy. Koszmarny czas dla nas, dwojga dzieci. Pewien uraz na tle opału – zimna 39/40 r. była bardzo ciężka – pozostał mi do dziś: zawsze muszę mieć go w zapasie. Byliśmy przez rodziców przyzwyczajani do nauki do uczenia się. I ojciec nawet w tych koszmarnych czasach dbał o to.

W swoim dalszym opisie ograniczę się do kilku aspektów wojennych przeżyć: nauki, członkostwa w AK, gdyż w tych środowiskach znaleźli się wspaniali ludzie, których pomocy zawdzięczam bardzo wiele. Zainteresowanie się moim losem – losem uciekiniera – zawdzięczam to kim jestem. Oprócz ego była jeszcze praca, ciężka, fizyczna praca na polu.

Zaraz po przybyciu do Jarosławia ojciec zapisał nas do szkół średnich. Ja zostałem uczniem II gimnazjum. Jak wiadomo po kilkunastu dniach zostało ono zamknięte. Pamiętam słowa profesora „Przychodźcie do gimnazjum, będzie ogłoszenie o rozpoczęciu nauki”. Niestety nie ukazało się ono aż do 1944 roku.

Po ukończeniu 7-mej klasy w roku 1940 ojciec zapisał mnie do I klasy „Handlówki”. I w tym momencie zaczyna się dla mnie nieomal cudowna opiekuńczość moich nauczycieli.

Po ukończeniu „Handlówki”, szkoły, której zawdzięczam bardzo dużo, a umiejętności w niej nabyte służą mi już przez ponad pół wieku. Mając niecałe 16 lat przeszedłem do drugiej znanej i cenionej szkoły „Budowlanki”. W roku szkolnym 1942/1943 – kurs kreślarski. 1943/1944 I klasa „Budowlanki”. I w tej szkole byłem uczniem znakomitych wychowawców, wysokiej klasy nauczycieli: prof. Broniewski (z nim spotkałem się później w Politechnice Wrocławskiej), Kopystyński i inni.

I tam zdobyta wiedza pozwoliła mi na przeżycie ciężkiego okresu studiów we Wrocławiu.

Rok szkolny 1944/1945 rozpoczął się już po wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej. Dla mnie powstał dylemat czy kończyć „Budowlankę”, czy przejść do gimnazjum ogólnokształcącego.

W czasie nauki w I klasie licealnej wraz z kilkoma kolegami wykorzystując sugestie niektórych naszych nauczycieli postanowiliśmy przy ich pomocy przerabiać kurs II licealnej i przy końcu roku szkolnego zdawać eksternistyczny egzamin dojrzałości. Egzamin ten zdałem we wrześniu 1945 r. w Liceum Ogólnokształcącym w Jarosławiu. Okazało się, że w okresie wojny nie utraciłem ani jednego roku nauki.

Równolegle do nauki szkolnej od marca- kwietnia 1942 r. byłem zaangażowany w pracy konspiracyjnej.

Nie była to może konspiracyjna działalność zbyt spektakularna, lecz również niebezpieczna. W budynku mieszkali Volksdeutsche, a był też nieprzyjemny incydent z jednym z członków Hitlerjugend. Przypuszczam, że rodzice orientowali się w mojej działalności i niebezpieczeństwie z tym związanym, lecz nie spotkałem się z jakimkolwiek przejawem ich niechęci.

W 1944 r. była mobilizacja do warszawskiego powstania- drugi rzut nie doszedł do skutku; została odwołana.

W 1944 r. po wkroczeniu armii czerwonej był u mnie niewielki magazyn broni, gdzie ukrywałem kilkanaście pistoletów.

We wrześniu 1945 r. po egzaminie maturalnym pojechałem do Wrocławia, gdzie zacząłem pracować w Zarządzie Dróg Wodnych. Tam spotkałem się z kilkoma kolegami z „Budowlanki” - ale to już okres powojenny.

PO WOJNIE

Po raz pierwszy we Wrocławiu zjawiłem się w lipcu 1945 r., aby rozejrzeć się w sytuacji, bowiem moi koledzy po maturze w Liceum Budowlanym w Jarosławiu, gdzie wykładowcą był późniejszy profesor Politechniki Wrocławskiej Tadeusz Broniewski, przyjechali do pracy w Zarządzie Dróg Wodnych, który ówczesnie mieścił się w budynku położonym nad kanałem naprzeciw głównego gmachu Politechniki.

We wrześniu 1945 po eksternistycznej maturze w Liceum w Jarosławiu losy moje na kilka lat do 1949 r.- związały się z Wrocławiem.

Rozpocząłem pracę w Zarządzie Dróg Wodnych. Praca ta dawał mi środki utrzymania na życie w czasie pierwszych lat studiów.

Po ogłoszeniu zapisów na studia zgłosiłem się na Politechnikę na Wydział Chemiczny. I zostałem studentem. Studia na Wydziale Chemicznym są czasochłonne, musiałem jednakże wygospodarować czas i na pracę zarobkową.

Okres studiów to równocześnie praca społeczna, zostałem przewodniczącym Koła Chemików oraz Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej w „Bratniaku”. Wspominam duże zaangażowanie kolegów w pracy obu organizacji, szczególnie przewodniczącego Bratniaka, kolegę Derusa, prawnika, który niekiedy na zebraniach przemawiał po łacinie. Głęboko w mojej pamięci – poza wykładowcami- zapisał się prof. Dionizy Smoleński, opiekun Bratniacka.

Wspomnę o jednym zdarzeniu.

Jako przewodniczący Komisji Rewizyjnej „Bratniaka” nie zaangażowany w jego bardzo trudne bieżące sprawy, miałem wgląd w jego rozliczne działania. W roku 1946 zostałem wezwany do WUBP, gdzie po długich przesłuchaniach nakazano mi sporządzenie „charakterystyk” członków Zarządu Bratniaka. Prosto z tzw. Urzędu udałem się do p. Rektora Smoleńskiego, który po przedstawieniu mu całej sprawy przeprowadził rozmowę telefoniczną – nie wiem z kim- zabraniając mi równocześnie sporządzania jakichkolwiek notatek. Był bardzo zdenerwowany. To była pierwsza, lecz nie ostatnia utarczka z „Urzędem”.

W czasie studiów było mnóstwo egzaminów i kolokwii, nie zaliczyłem jednego – z technologii wody – w katedrze w której później pracowałem. Pozostały mi w pamięci dwa

egzaminy o których wspomnę, z uwagi na ich przebieg. Są to egzaminy z elektrotechniki i technologii organicznej.

Egzamin z elektrotechniki odbył się w gabinecie prof. Skowrońskiego. Byłem jednym zdającym. Otrzymałem do rozwiązania układ w którym roilo się od oporników/ teraz nazywają się inaczej/ kondensatorów trzeba było obliczyć prądy, spadki napięć itp. Egzamin trwał dość długo. Profesor od czasu do czasu zaglądam jak mi to idzie. Po 1-szej godzinie lub dłużej wziął arkusz egzaminacyjny i powiedział: zadanie zostało rozwiązane źle, ale Pan/tj. ja student/ orientuje się w elektrotechnice.

Nota pozytywna, koniec egzaminu. Egzamin z technologii przebiegał dość podobnie; otrzymałem kilka pytań na początku, na które odpowiedziałem. Następnie była seria pytań na które nie znałem odpowiedzi. Wówczas powiedziałem Profesorowi – a znałem go bliżej ponieważ nasze Katedry współpracowały ze sobą- że niestety „z braku wiedzy, którą muszę uzupełnić zgłoszę się do ponownego egzaminu. Na to otrzymałem odpowiedź; bardzo charakterystyczną: "Na te pytania nie mógł Pan /tj. ja student/ odpowiedzieć, gdyż o tych sprawach dopiero przeczytałem w prasie naukowej. Ale zadałem je po to „aby uświadomić, że stale trzeba uzupełnić swą wiedzę”. Wspominam tych profesorów i innych jako ludzi mówiąc językiem technicznym „ wielkogabarytowych”. Ostatnie dwa lata studiów to równocześnie praca w Katedrze Technologii Przemysłów Rolnych, prof. Franciszka Nowotnego, u którego nabywałem szlifów metodologii prac badawczych.

Po studiach przez trzy lata pracowałem jako nauczyciel w Liceum Technologiczno – Chemicznym w Jarosławiu. Było to doskonałe miejsce do powtórki wiedzy. Lata 1952-1958 to okres intensywnych prac badawczych i projektowych w Instytucie Tworzyw Sztucznych w Pustkowie pod kierunkiem grona jeszcze przedwojennych chemików. Prace te obejmowały tworzywa sztuczne – mocznikowo- formaldehydowe/ kleje, laminaty i tworzywo porowate/ piankowe/. W zasadzie wszystkie badania kończyły się realizacją przemysłową. Jednym z ważniejszych były badania nad oczyszczeniem ścieków zawierających fenol. I te badania wraz z Instytutem Chemii Przemysłowej – zakończyły się budową chyba pierwszej powojennej oczyszczalni ścieków.

Okres przebywania w Pustkowie zakończył się z powodu „Urzędu”. Były formułowane wobec mnie zarzuty o zdradę tajemnicy państwowej. Znane były wówczas tzw. procesy pokazowe. Udało mi się jednak uzyskać przeniesienie do Zakładów Azotowych w Kędzierzynie, gdzie kontynuowałem prace badawczo-rozwojowe nad mocznikiem i formaldehydem z czego

urodziła się monografia Pt. „Mocznik” wydana przez WNT oraz „Tworzywo Porowate” również wydane przez WNT.

W Zakładach Azotowych w Kędzierzynie utworzyłem Wydział Badań Technicznych zajmujący się ochroną przed korozją, wprowadzaniem tworzyw sztucznych do praktyki przemysłowej oraz środkami smarującymi /dwusiarczkiem molibdenu/.

Był to również okres intensywnej pracy badawczej, zakończonej uzyskaniem doktoratu w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Wiele z przeprowadzonych prac zostało wprowadzonych do praktyki przemysłowej. W tym czasie zostałem oddelegowany na studia do Centralnego Ośrodka Doskonalenia Kadr Kierowniczych w Warszawie, po ukończeniu których prowadziłem zlecane wykłady z dziedziny nowoczesnego projektowania.

Ukoronowaniem tego kierunku zainteresowań było stypendium ILO w przemyśle chemicznym w Australii. Kontrakt z ILO na kilkuletni wyjazd do państw Maghrebu jako wykładowca nie doszedł do skutku z powodu mojej odmowy „współpracy”. Kilkuletni okres w Polskiej Akademii Nauk specjalnie korzystny nie był.

Kilkudziesięcioletnia praca w największym Biurze Projektów Przemysłu Chemicznego – PROSYNCHEM- GLIWICE pozwoliła na wykorzystanie uprzednio zdobytej wiedzy i doświadczenia.

Ukierunkowane było na prace prognostyczno- planistyczne dot. rozwoju przemysłu chemicznego, które jako prace zbiorowe- przedstawione zostały w formie Programu Chemizacji Gospodarki Narodowej.

Mając obecnie 86 lata mam prawo spojrzeć wstecz na całe życie.

Jeżeli istnieje Drugi Brzeg – zdążamy do niego, jeżeli nie to natura dała nam nagrodę. Tą nagrodą dla mnie jest kobieta – 4 letnia prawnuczka i mężczyzna – 2-letni prawnuk.